

Kazimierz Nowosielski

Brzozy, dzieci i wróblaski

Było dość wczesne przedwiosenne rano, kiedy obudził mnie ostry, acz przerywany, pojękliwy warkot łańcuchowej piły; raz, dwa, trzy – uparcie: raz grubiej, raz cienie... Wyrząłem przez okno. Przy rosnącej niedaleko mojego bloku wysokiej brzozie stał samochód z zamontowanym na platformie dźwigiem, na którego szczycie, jakby na małym balkonie robotnik wywijał spalinową pilarką. Zaczął od dołu, najpierw tnąc grubsze konary, aby dalej, metr po metrze, wznosić się coraz wyżej – aż do samego czubka drzewa, którego też nie oszczędził.

Zrobiła mi się nadzwyczaj smutno w sercu i na duszy. Z tym drzewem rosłem, z tym drzewem w mojej okolicy dojrzywałem. Gdyśmy w 1976 roku sprowadzili się z żoną i córką do mieszkania przy Karpackiej w Oliwie, brzoza była właściwie brzózka: miała ze dwa, może trzy metry wysokości, podczas gdy dziś sięga już ponad dach sąsiadującego z nią dwupiętrowego, przedwojennego domu. Na swój sposób ją pokochałem. Podziwiam jej niezwykłą o każdej porze roku urodę; smukła, zdrowa, gibka niczym panienka w tańcu... Przysiadające na jej gałązkach ptaki ośpiewywały mój żywot: sikorki, kosy, z rzadka czyżyki, które wraz z wiosną lądowały na niej na chwilę, potem gromadnie leciały na skraj lasu i szybko wracały z głośnym popiskiwaniami. Wśród rozlicznych gości widywało się też gołębie grzywacze, sroki oraz wrony. Wczesnym latem roztrząsała wokół swoje drobne nasionka, a jesienią złotawoszarawe, lekko sercowate liście.

Teraz ze smutkiem patrzyłem na coraz bardziej niknącą koronę. Pomyślałem: to coś znaczy, coś zapowiada... Zapisałem na karteczce króciutką refleksję; coś, co być może miało być nawet wierszem, ale został tylko skrawek, poetycki kikut – tak, jak to moje drzewo. A było to dokładnie 18 marca 2020 roku, czyli na początku koronawirusowej w naszym kraju zarazy:

Serca mi trochę odjęto;
brzozę za oknem ścięto.
Starą? młodą? Trochę
jak ja.

Po niespełna dwu godzinach okazało się, że jednak coś z mojej brzozy zostało: niewiele ale jednak: pień, parę gałęzi u szczytu. Może i na nich jeszcze kiedyś przysiadzie gołąb albo kos, a słońce przymnoży delikatnych, jak to u brzozy, listków.

Kilka dni później przechodziłem obok innych brzoź. Rosną za drucianym ogrodzeniem naszego osiedlowego przedszkola – i mimo, że niektóre z nich dość wiekowe, mają się całkiem dobrze. Jedno mnie jednak owego dnia zastanowiło: cisza przy karmniku stojącym niedaleko jednej z nich; żadnego ptasiego gwaru, żadnej tak charakterystycznej dla tego miejsca krzątaniny; nic, tylko milczenie będące jakby częścią ciszy po nieobecnych od paru dni w przedszkolu dzieciach. Bardzo lubiłem z mojego balkonu wsłuchiwać się w ów ptasi rozgwar oraz dziecięce śmiechy, krzyki i nawoływania.

Jeśli chodzi o nasz dość bogaty, osiedlowy ptakostan, to jakoś szczególnie zaimponowały mi wróble. W naszej okolicy nie było ich przez dłuższy czas. Jedni powiadali, iż stały się ofiarą przybywających z każdym rokiem dzikich kotów, inni, że wyjadają im jajka wszedobylskie sroki, a jeszcze inni, że nastał na te ptaszki jakiś pomór. Nie wiem. W każdym razie od paru lat zasiedliły pobliskie krzaki, wybierając nade wszystko kolczaste śliwki, na Kujawach zwane glubkami, które charakteryzują się nadzwyczaj szczelną strukturą gałązek. Te ostatnie są tak gęste, iż bezkarnie nie wsmyknie się tam ni kot, ani nawet sroka. I moje, jak je nazwałem, wróblaski czuły się tam znakomicie.

Od czasu do czasu rozkrzyczaną gromadą startowały stamtąd w stronę karmnika, a czyniły to nadzwyczaj sprawnie i szybko – nim przybędą mocniejsze od nich gołębie lub kawki – aby czym prędzej wyjeść każdego dnia wysypywane im przez panie przedszkolanki ziarno. Swą gwarą krzątaniną przypominały mi lata mojego dzieciństwa, kiedy to każdego ranka mama, nim wypuściła kury i kaczki z kurnika, roztrząsała w specjalnie przygotowanym do tego korycie, zmieszane z gotowanymi kartoflami i odrobiną śruty, żyto. Nim z krzykiem wypadł ów gospodarski drób z kurnika, wróble – jak to mają we zwyczaju – klóćąc się przy tym zawzięcie, już wydziobywały, co się dało. Były szybsze od kur i kaczek, sprytniejsze i... jakby nigdy nienasycone.

Teraz w naszym przedszkolu cisza. Ale miejmy nadzieję, że niebawem wrócą tu dzieci, wróci życie – i wrócą też moje wróblaski.

Gdańsk 29 marca 2020 r.